NUMER 34. DNIA 20. SIERPNIA 1905 ROKU. ROK XIII.

# TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

## MARJA WYSŁOUCHOWA.

Przed kilku laty, kiedyśmy ze śp. Marją Wysłouchową w ukochanej przez Nią Istebnej na Śląsku bawiły, zawiązała się między nami rozmowa o wydawnictwach dla ludu i ich autorach.

Byłam świeżo pod wrażeniem pięknych Jej dziełek i trudno mi było ukryć gorące słowa uznania. Wymówiłam się przytem, że rada byłabym myśli swe wypowiedzieć w drukowanem słowie.

Na to pani Wysłouchowa z właściwą sobie żywością poczęła mi przeczyć, zabraniając tego niejako. Wymogła wreszcie na mnie przyrzeczenie, że mówić o Niej nie będę. Słowa danego, acz wbrew chęci, dotrzymałam.



MARJA WYSŁOUCHOWA.

Lecz dziś, kiedy wszelka zawiłość rzeczy ludzkich między nami zagasła, sądzę, że zdjęta z ust moich pieczęć i mówić mogę, tak jak mówić pragnę, czem żył ten jasny duch na ziemi, w czem się streścił i czem się wypowiedział, gdy czerpał ze skarbnicy swych głębin.

Są jasne istnienia, których pobyt na ziemi jest niby pasmem złocistem, przetkanem przez powszednią szarość ludzkiej przędzy żywotów, snują się świetlną drogą, dając złoto swych prac i złoto swych natchnień, wlewając ton jasny w posępność tła, będąc jego ozdobą i wartością. Życie codzienne spoufala nas z tem zjawiskiem; bierzemy, co dają, niby dań przynależną, z tem spokojnem przeświadczeniem, że dają złoto, ponieważ same są złotem.

I wtedy zaledwie, kiedy pasmo ich życia przetnie się, uświadamiamy sobie nagle z całą wyrazistością prawdy, czem była treść ich ducha, czem całe ich istnienie i czemu do nas podobni, tak byli od nas różnymi. I zatrzymu-

jemy się nagle zdumieni, olśniewa nam oczy jakieś potężne światło, ku któremu ręka zmarłego drzwi uchyliła, oblewa nas fala czystego powietrza, serca nam się porwały ku jakimś szczytnym wyżynom.

Przy zgonie ś. p. Wysłouchowej powtórzyło się to samo zjawisko. Uobecniliśmy sobie nagle, czem była ta dusza wysoka i czysta, przejęło nas głębokie uznanie, zrozumieliśmy naocznie, lepiej i świadomiej, niż dotąd, że żyło wśród nas, a oto zagasło jedno z najpiękniejszych świateł, jakie społeczność ludzka rzadko tylko na horyzontach swoich zapala. I jakby porwane jedną myślą, zewsząd, ze wszystkich krańców ziemi, która Ją znała, ozwały się gorące słowa uwielbienia, miłości i wdzięczności, a żalu szczerego, że już Jej niema.

I teraz, kiedy przystępuję do poruszenia wspomnień tych chwil niedługich, które mię do zmarłej zbliżyły, doznaję wrażenia, jakbym wchodziła do świątyni, w której świeżo dokonała się jakaś podniosła ofiara i gdzie królują wielkie prawdy, których życie powszednie nie pokalało.

Ś. p. Wysłouchową poznałam w najżywszej chwili jej pracy, a zarazem najmilszej dla niej — więc może w bardziej jeszcze wyjątkowych chwilach, niż całe na ogół wyjątkowe Jej życie. Było to, jak wspomniałam, na Śląsku, w owej pięknej Istebnej, którą tak barwnemi słowy niejednokrotnie opisywała, której mieszkańców uniesioną niemal ukochała miłością.

W tym kraju cichym, czystym, dalekim, wolnym od złośliwych zabiegów i obopólnych niechęci szerszego świata, wśród ludzi „prostych, jako Bóg ich stworzył“, wypoczęła Jej dusza i otwarła się, jak kwiat ku słońcu.

Piękno przyrody, na które niewymownie była wrażliwą, upajało Ją, nie rozmarzając, raczej budząc całą życiowość Jej zdrowej naówczas, a bogatej natury. Chciwie piła to piękno — lecz to jedyna była rozkosz, którą zachowała osobiście dla siebie, poza tem cały swój czas, całe swoje istnienie niejako oddała wiosce. Mieszkała w skromniutkiem mieszkanku, w t. z. „izdebce na werchu“ góralskiego domku wiejskiego — potem przeniosła się do chałupy gazdy Śliwki i tam żyła wśród nich, jak swoja wśród swoich. Wkrótce stała się opatrznością całej wioski, ukochaniem jej i uciechą. Wieczory w długich pogawędkach, dni na odwiedzaniu, leczeniu, na pomaganiu nawet w pracy ręcznej, na studjowaniu ich życia i zwyczajów spędzała bez przerwy. A była też — i tem przeważnie — ich światłem.

Nauczała, objaśniała, zaopatrywała ich w książki i dzienniki, na zgromadzeniach liczniejszych pięknem swej niepospolitej wymowy porywała im dusze, zgoła otwierała przed nimi światy nieznane, ukazywała im przeszłość i drogi wytyczne ich przeznaczeń. Można Ją było widzieć na ulicach Istebnej zawsze w otoczeniu licznej ludności wioskowej, a najbliżej otaczała ją dzieci gromada, które leciały za Nią jak za słońcem, pociągnięte ciepłem Jej oczu i białą dłonią zawsze dla nich otwartą.

Dla siebie nie potrzebowała niczego. Żyła niemal ascetycznie. Jeśli zrazu, mieszkając jeszcze wspólnie ze swą przyjaciółką, zmuszoną była do przyjęcia pożywniejszego kęska lub wykwintniejszego, robiła to niechętnie, dla ustępstwa jedynie, lecz i tego nawet nie spożywała razem, a zanosiła do siebie „na górkę“ i później cichaczem niosła jadło, nieraz na drugi koniec wioski, dla słabowitego starca, dla chorego dziecięcia lub karmiącej matki.

W każdym najdrobniejszym Jej czynie przebijała się szczera a gorąca miłość dla tych ludzi, poza nimi dla całej idei — i to właśnie, ta prawdziwość uczucia czyniła Wysłouchową tak ukochaną wśród ludu i taki piękny plon w pracach Jej wydała. Gdybym duszę Jej mogła upodobnić do czego, to przyrównałabym Ją do wiecznie płonącego ognia na jakimś wielkim nieśmiertelnym ołtarzu — tak żywym, tak lotnym, tak płomiennym, a pochłaniającym wszystko w sobie był ten duch samoofiary i miłości.

Pobyt na Śląsku Wysłouchowej wypowiedział się w najpiękniejszych Jej pracach piśmiennych — tych wszystkich, które dotyczą Śląska.

Marję Wysłouchową znała już czytająca publiczność przedtem na lat kilka.

Jak cała treść Jej życia, również i praca literacka ściśle tylko w jednym kierunku prowadzoną była. Rzecby można, że ten duch jednolity „uczuć i czynów nie znał rozłamu“, aześrodkowany w jedno ognisko, tem silniej przemawiał. Działalność swą literacką rozpoczęła Marja Wysłouchowa w „Kurjerze lwowskim“, zasilając to pismo licznymi artykułami Były to rzeczy przeważnie poświęcone sprawie ludowej lub historycznym wspomnieniom, pisane barwnie, żywo, a gorąco — co pismu codziennemu nadawało żywszy koloryt i sercem przywiązywało czytelników. Wkrótce próbować zaczęła pracy samoistnej. Były to dziełka ludowe, bądź z historji poczerpnięte, bądź życiorysy znakomitych autorów i działaczy dziejowych. Nie są to rzeczy wielkie, obliczone były na czytelników, którzy na

literaturę wiele czasu nie mają — lecz wszystko to perły — i najczystszej wody. Każdy utwór, co z pod Jej pióra wychodził, był całą tęczą promieni i łez. Władając prześlicznym stylem, czerpała z pełnych skarbnic swego bogatego ducha i dawała nam, w swym rodzaju, skończone piękno.

Jedną z najcelniejszych, bo najrzetelniejszą zaletą tych prac jest umiętność trafiania do umysłu swych czytelników. Zdawało się, że posiada klucz złoty, którym otwiera garnące się ku niej serca. Tak było ze słowem pisanem, tak bardziej jeszcze, ze słowem żywem. A na utworzenie owego klucza składały się trzy zasadnicze pierwiastki: treść, zawsze wagi głębokiej, podniosłość szlachetnych uczuć, o które ręka autorki co chwilę potrąca, które, jak zasadnicza nuta, drgają raz wraz w każdym z jej utworów, zawsze wysoce czyste, gdzieś w niebiosa bijące — i wreszcie szczere umiłowanie tych, do których przemawia.

Cechy te nadają pracom Wysłouchowej szczególne piętno, powiedziałabym, propagatorskie, jeśli tak rzec można w przeciwstawieniu do dydaktyczności. Książki Jej nie tylko poświadamiają lub nauczają — one przedewszystkiem budzą; uczucia budzą, wolę, natchnienia, budzą do czynów — jest w nich jakaś lotność płomienia, który ogarnia i pociąga za sobą. Otwórzmy pierwszą lepszą — wszystkie posiadają tę cechę. Oto „Opowiadanie Bartosza o Polsce“. Rzecz drobna, prostą gwarą, ustami kmiecia wiejskim słuchaczom opowiedziana. Mówi o ostatnich chwilach Reczypospolitej, aż do wzięcia przez Suworowa Warszawy. Treściwie, jasno, prosto wiążą się wypadki, jak następowały po sobie, ani jednego zbytecznego tu słowa, żadnego zapędu do gadulstwa, wszystko, co się mówi, to tylko najistotniejsza treść zdarzeń dziejowych.

„A mówić będę zwięźle — zapowiada Bartosz — o tem jeno, co najważniejsze, bo jutro w czas zrywać się nam do roboty, — dyć sami wiecie...“

I płynie to opowiadanie barwnie, żywo, z przedziwną harmonją artysty, który poszczególne tony umie do jednej pięknej dostroić całości. Żadnych przytem nauczek, ani gderackiego wnioskowania albo zdawkowych osłuchanych frazesów. Między wypadkami, które raczej posiadają kontury obrazów, wyrywają się tylko Bartoszowi podobne uwagi: „Jakto? — spytacie zapewne ze zdumieniem — Jakto? Naród polski, taki waleczny, bohaterski, miłujący wolność bardziej, niż życie, poddał się wrogom bez walki, oddał pod obce jarzmo ziemie swoje, pozwolił Ojczyznę potargać? Byłoż to tak naprawdę?“...

A kiedy opowie cały przebieg Kościuszkowskiego powstania, radość, nadzieje, tryumfy powstającego narodu — a potem klęski i krwi płynącej potoki, w ostatnich słowach kończy: „Naród polski zmył krwią Kościuszkowskiego powstania hańbę dwóch pierwszych rozbiorów — odzyskał w bohaterskiej walce skarb najdroższy: godność narodową, — i zabić się nie dał.“

Całość małej książeczki przejęta jest jednakiem światłem — światłem tego ogniska, które tli w duszy autorki iześrodkowuje się w jednem z najpotężniejszych uczuć: w miłości Ojczyzny.

To samo da się powiedzieć i o „Konstytucji Trzeciego Maja“ i o „Powstaniu Kościuszkowskiem“ i nadewszystko o dziełku noszącem miano: „Za wolność i lud“. To ostatnie posiada wszystkie zalety wyżej wymienionych, doprowadzone tylko do wyższej potęgi.

I dziwna — smutne te dzieje, gdzie każda karta kończy się krzyżem mogilnym lub drzewem szubienicy, gdzie każdy wypadek targnie głębią naszego bolu, nie uczynią nas zwątpiałymi, albo znękanymi beznadziejnie. Mają te dzieje jakiś ponury blask pożaru i krwi, lecz i uczuć tak gorących i szczytnych, tak ogniem samoofiary płonących, że nie rozpacz w czytelniku budzą, nie opuszczenie rąk, nie zwątpienie, a zapał i porwanie się do czynu. Takie wrażenie, to już dzieło ducha autora. Znamy inne głosy, znamy odezwy inne, które do czynów 63-go roku przywarły — lecz szlachetna dusza autorki zrozumiała, odczuła i ukochała w dziejach tych prawdę — i tę prawdę, w całej jej wielkości i pięknie, każe czytelnikom swoim odczuć i ukochać. Jak świadczy sam tytuł książki, uwydatnia autorka przedewszystkiem te rysy — zasadnicze zaiste — które kierowały powstaniem: wywalczenie swobody i ideę równości. Obok „Opowiadania Bartosza“ jest to najpiękniejsze z historycznych dziełek Wysłouchowej, na ogół może najpiękniejsza z książek ludowych u nas.

Życiorysy znakomitych pisarzy, które Wysłouchowa podaje ludowi, mają odrębną swoją cechę. Nie są to, ściśle biorąc, życiorysy tylko lub literacko traktowane krytyki, lecz autorka mając zawsze czytelników swoich na względzie, posługuje się, rzec można, metodą poglądową, mówi bardziej słowami i czynami poety, niż własnymi wywodami. Lenartowicz, Ujejski, Goszczyński, Mickiewicz, nadewszystko Mickiewicz, mnóstwem szczęśliwie dobranych cytat, zestawieniem faktów ich życia, wypowiadają się przed czytelnikiem tak żywo, że niemal już uwag krytyki nie trzeba. Jednak uwagi te są, i czynione

ręką trafną i umiejętną, wykazują najistotniejsze strony ducha poety, wplatają się w barwny obraz jego życia i dają obraz poety tak żyjący, tak wymownie świadczący o wielkich ideach i wielkiem dla narodu dusz takich znaczeniu, że książka, nie pouczając i nie filozofując, wprost każe czytelnikowi zapatrzeć się jak w wizję i całem sercem go ukochać.

Jeśli zestawić dwa z życiorysów: Teofila Lenartowicza i Goszczyńskiego, to się w nich niejako, niby w dwóch zasadniczych akordach odbija cała dusza autorki. W lirycznym mazowieckim śpiewaku wypowie nam autorka wszystkie tkliwe, serdeczne, porywnem ciepłem przejęte uczucia własne; gdy mówi o jego pieśniach ludowych, o jego tęsknocie do ojczyzny, to Ona sama kocha ten lud, to własna Jej dusza tęskni za rodzinną stroną, a ucisza się w rzewnej piosnce i perłami łez czystych płacze.

Lecz kiedy mówi o Goszczyńskim, kiedy do życiorysu poety raz w raz miesza wypadki dziejowe gromami nabrzmiałe — to widzimy, że własny Jej duch rozwinął skrzydła, że nurza się w ogniu dziejowych błyskawic, że mu szeroko, przestronno i lubo.

Ostatni z życiorysów, K. Ujejskiego, premjowany pierwszą nagrodą na konkursie komitetu Polek, posiada więcej może literackiego obrobienia, lecz nie jest już tem, czem były dwa wyżej wymienione, nie jest duszą autorki. Może wrażenie osłabia nie dość wyraźne uświadomienie sobie poziomu słuchaczy — rzecz jest pisana na wpół literacko, nawpół ludowo.

*Wanda Dalecka.*

(Dok. nast.)

---

WŁADYSŁAW ORKAN.

# *„Ziemia“.*

*Przez zmarłe wieki, stepy czasów*
*Smutek, jak wiatr wieczysty, wieje —*
*Z cmentarzy wzlotów i zapasów*
*Rodzą się ziemskie epopeje...*

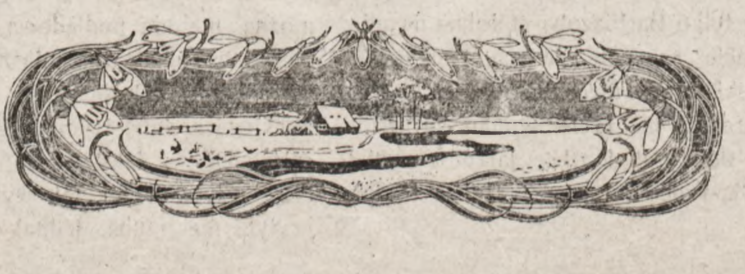
*Tworzy się księga-ból, krwawemi*
*Łzami pisana, życiem całem —*
*Przesmutny koniec życia-ziemi*
*Będzie ostatnim jej rozdziałem.*

*Anioł ów śmierci nakład świeży*
*Włączy do bożej bibljoteki,*
*Gdzie już olbrzymi stos ksiąg leży,*
*Które pisały zmarłe wieki.*

*W rzędzie tytułów, blizkich słońcu,*
*Co prostych świętych wsze oniemia,*
*Będzie się odtąd w szarym końcu*
*Krwawił wieczyście tytuł „Ziemia“.*

*Nie trafi mową swej prostoty*
*Do czytelnego niebios kleru —*
*Chyba ją weźmie podczas słoty*
*Niewiasta jaka z fraucymeru...*

*Zwabiona słowem-krwią, otworzy,*
*(Kto fałsz proroctwa może dowieść?)*
*Przeczyta, westchnie i odłoży*
*I szepnie smutnie: „Ładna powieść...“*



KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER.

# Bajeczny świat Tatr.

## (ZE SZKICÓW DO STUDJUM).

## ZBÓJNICY.

Powiadała stara pieśń:
Nie bój się, Janicku, nie bój się tego nic;
Orawskiego zamku, luptowskik śubienic!
Nie bój się, Janicku, nie bój się, nie zginies!
Wyjńdzies do wirsycka, siekireckom zwinies!
Powiadał stary ojciec:
Ucies ze sie, ucies, mój Janicku, ucies,
Kie cie łapać pudom, do wirsycka uciec!
Powiadała stara matka:
Z mojego Janicka bedzie se tyz zbójnik,
Bo se przetorował do Luptowa chodnik!
Nuciła dziewczyna kochana:
W moim ogródecku majeranek bujny,
Niek ku mnie nie chodzi, ino zbójnik śumny!
Gwarzyli ludzie:
Stara Nowobilska, jako jeden popiół,
Uchowała Jasia, jako jeden sokół!...
I Janicek szedł na zbój, śpiewający:
Powiadali ludzie, se mnie zbójnik budzie —
Jak budzie, to budzie —samym wirchem pudzie!
Nie bedem jo gazdom, nie bedem rolnikem,
Ino bedem chodził zbójeckim chodnikem!...

Dał se uszyć piękną czuchę, piękne portki cyfrowane, kamizelę wdział niebieską ze złotymi guzikami, czapkę wysoką baranią, czarną, owijaną sznurkami z muszelek i świecidełek, w warkocze koło uszu powplatał szkiełka, na piersi spiął koszulę wielką blachą mosiężną z łańcuszkami, obuł się „do nowych“ kierpcy, pasem szerokim opasał. Za ten pas dwa pistolety i dwa noże zbójeckie o krzywem ostrzu i trzech mosiężnych kulkach na trzonku wetknął, strzelbę przez ramię przewiesił; ciupaga o brzęczących kółkach mosiężnych do garści —

Hej! Nimas to, jako zbój!...

I szedł tak uzbrojony Janicek ku „wesołym“, szedł „przystać ku dobrym chłopcom“, szedł „skocyć za bucki“.

Powiadała stara pieśń:
Dobrze Janickowi pokiela je młody:
Przeskakuje bucki, jaworowe kłody!
On zaś sobie dochwalał:
Hej! Kie ja se skocem z za bucka na pniaka,
Z niejednego pana urobiem zebraka!...

Gdzieś pod Tomanową Polską, wyżej szałasów, siedziała banda obozem, a byli tam sławni zbójnicy: ku nim Janicek szedł. Albowiem sława ich spać mu nie dawała w domu, a skarby przez nich dobywane ślepiły mu oczy. Ruszył więc ze wsi potajemnie, odbiegając ojca i matki, domu rodzonego i dziewczyny kochanej o licu gładkiem i wysokich młodzieńczych piersiach, ruszył w nocy i nad ranem przechodzić miał koło szałasów na Smytniej. Ale nie chciał iść lasem, chyłkiem, bo wiedział, co mu ucieszy serce.

I ledwie psy go oszczekały, wybiegli z szałasów juhasi, wybiegły juhaski.

— Ze coz to hań? — pyta się juhas juhasa.

— Jakisi chłop, polowac, abo co?

— Hej! Ka to idzies? — woła juhas.

— Ka sie mi kce! — odpowiada Janicek.

— Pójdze! Napij sie mlika!

Zbliża się Janicek ku szałasom, a dziewki szepcą:

— Is, Hanka! Jaki ładny!

— Siumny! Is, kielom mo zbroje?

— Zbójnik!

I uciekły za ścianę szałasu, a z za węgłów patrzą ich oczy jasne, bystre, świecące, ciekawe, rozpalone i ogniste. Juhasi kołem obstąpili Janicka.

A kiedy odchodził, zaśpiewali za nim chórem;

Hej! Coze temu padnie, hej, co owiecki kradnie?
Hej! Cozeby mu padło, hej, strycek na gardło!

A dziewczęta chórem śpiewały:

Jaworu, jaworu, syrokiego liścia:
Dejze, Panie Boze, zbójnikowi scęścia!

A on szedł i serce mu rosło i z daleka im z lasu odpowiedział:

Powiadali, powiadali,
Ze zbójnika porubali:
Porubali bucka w lesie,
A zbójnika wiater niesie!

Właśnie barana warzyli zbójnicy w kotle, kiedy się przed nimi stawił.

— Niek bedzie poc walony! — rzekł i uchylił kapelusza.

A oni mu się odkłonili, mówiąc: „Na wieki wieków. Jamen“.

Zbójnik musiał próby przejść. Dawali pistolet, kazali strzelać do celu. Kazali ciupagą ciskać i gałęzie ucinać u świerków. Na siłę się musiał próbować „za pasy“, z najtęższym z bandy. Musiał do mety biegać na wyścigi. A te próby zwykle z samym hersztem, czyli harnasiem, „hetmanem zbóje-

ckim", odbywać musiał, bo ten musiał sam we wszystkiem najlepszy być.

Była jeszcze jedna próba, podrywka.

Mówili:

Jak przeskocys nad las,
Budzies towarzis nas.

Kto nie wiedział, to się stropił, ale kto wiedział, albo odgadł, albo mu jaki życzliwy zbójnik podszepnął, to tylko potrzebował wybrać młode drzewka i nad nie skoczyć. Ale tam skok nie byle jaki musiał być. Na swoją wysokość i wyżej chłopi skakali. Byli krzepcy. I były próby, że nagle z pistoletu nowicjuszowi nad samą głową strzelali, czy się nie boi? A potem następowało zaprzysiężenie. Herszt pistolet mu do piersi wymierzał, który sam miał strzelić, gdyby zaprzysięgany nosił się z myślą zdrady, nad głową mu ciupagi krzyżowali i przysięgał na wierność towarzyszom, posłuszeństwo dla herszta, uczciwość przy zdobyczy, że nie wyda nikogo z bandy i nie zdradzi, choćby go na męki brali, na wszystko, co było kodeksem rycerskim i prawem honoru zbójnika.

Gdy kto się okazał silniejszy, szybszy, zręczniejszy, a przytem sprytniejszy, śmielszy i zuchwalszy od herszta, najczęściej sam nim zostawał. Niezrównany Janosik natychmiast pokonał we wszystkiem herszta Uherczyka i Uherczyk był jego najwierniejszym drużbą, ale czasem powstawały waśnie, walki, nawet bandy dzieliły się na partje i urządzały na siebie wzajemne napady.

Strasznie się pastwiono, gdy zbójnika schwytano. Wałowego Jaśka z Kościelisk przez trzydzieści wsi w łańcuchach na zamek Orawski wiedli, i w każdej był stawiony przed domem rychtara (wójta) i bity kijami przez ludność. A zajadłość na zbójników była taka, że kto go w swojej wsi nie uderzył, to do następnej leciał, aby tylko swego nie stracić.

Straszne też było i okrucieństwo zbójników. Gdy naszli kogo, a ten się przyznać nie chciał, gdzie pieniądze schowane miał, wieszali głową na dół u powały, skwarzyli sadło i takie wrzące na gołe ciało lali. Ale byli tak zacięci ludzie, że czasem i te tortury nie pomagały i męczony skonał, a pieniędzy nie przezdradził.

Jeżeli jednak nienawiść otaczała zbójnika ze strony tych, których rabował, to za to z drugiej strony był on przedmiotem podziwu i uwielbienia, jako ideał i wcielenie tego, co się w górach najwyżej ceniło: dzielności fizycznej, odwagi i sprytu, obojętności na śmierć, umiłowania swobody i wolności bezwzględnej.

— Bo hań zbójnike bodaś wto nie był. Dziada odścigali hnet. Ale sie tys dziad ku zbójnikom nie brał. Babraców hań nie trza było, ba chłopów!

Do przymiotów zbójnika należały nie tylko siła, zręczność i odwaga: musiał on się umieć ślicznie ubrać, musiał być zawołanym tancerzem i elegantem, a cyfrowane, czyli wyszywane portki, oraz serdaki, zawdzięczają swoje powstanie zbójnikom.

Była taka epoka, że kto nie zbójnikował, nie „zbijał" choć czas jakiś, mało miał miru u dziewek i „nierady go widziały". Zbójnictwo było najlepszym probierzem, „kielo chłop stał", „kielo płacił", to znaczy, ile byłe wart?

Zbójnictwo i chwała zbójnika, bohatera pieśni i legend, tak przewracała ludziom w głowie, że opowiadają, iż pewien gazda, mały, niezdarny, brzydki, koszlawy, pękaty, słowem „sietniakowaty", choć dość tęgi, następującą rzecz wykonał: o tem, żeby go do bandy jakiej przyjęto, marzyć nie mógł, ubrał się więc w zbójecką zbroję, dwie strzelby przez plecy, pistolety, nóż, topór w garść, a i żywności nabrał na dni kilka. Z tem ruszył w las, a ludzie ciekawi, co to będzie, chyłkiem za nim. Doszedł w dzikie miejsce, przyczaił się i czeka. Po pewnym czasie wyskoczył z kryjówki, strzelił z rusznicy i dalej z toporem na prawo i na lewo! Niby napadał, bił się, uciekał i gonił. Tę zabawę powtarzał przez całe trzy dni, poczem z hardą twarzą do wsi powrócił, gdzie go naturalnie zamiast urojonej sławy, śmiech powszechny przywitał.

Z trzech gatunków ludzi rekrutowali się zbójnicy. Pierwsi to byli zbójnicy z urodzenia, z amatorstwa. To szło zazwyczaj rodami. Nowobilskich z Białki, sołtysów, mających nadania od królów polskich, z kórych ostatniego, Karolcynego Jaśka, jeszcze osobiście dobrze znałem, wieszano za rozboje już w XVI. wieku i ci szli rodem z dziada pradziada, familja najdostojniejsza i nazwisko najpierwsze na Podhalu. Nigdy mi nie wyjdzie z pamięci ten stary już wówczas, sześćdziesięcioletni chłop, czerstwy jeszcze i bez jednego siwego włosa, wysoki i smukły rzeczywiście, jak jodła, o sępiej pociągłej twarzy, chudy, jeden mięsień i żyła, gibki, zgrabny, z niebieskiemi oczyma twardemi jak stal. Nigdy nie pamiętam, żeby ktoś coś z takiem przekonaniem wypowiadał, jak on, kiedy stanął przed muzyką w schronisku w Roztoce i śpiewał:

Jo so pijem dwa dni, jo se pijem trzi dni,
Jo sie o piniondze nie turbujem nigdy!

W Zakopanem słynąć musieli niegdyś Sieczkowie, skoro pozostała o nich śpiewanka:

E dy ci Sieckowie byli ze to chłopcy,
Ozbili zomecek po miesiącku w nocy!

ale odkąd pamięć obecna sięga, Sieczkowie i Sobczaki także niegdyś podobno zbójnikowate chłopy, głównie trudnili się strzelectwem.

W Kościeliskach zasłynęły spokrewnione rody Matejów i Mocarnych. Z tych Wojtek Mateja do wielkiej sławy przyszedł. Przed trzydziestu może laty w Wiśnickim zamku w areszcie umarł.

Zresztą bywali poszczególni „wielcy“ zbójnicy, jak n. p. Wojtek Gał z Olczy, baca w Kondratowej, który młyn ręką hamował; Gałajda, zdaje mi się, z Brzegów, olbrzym, któremu wysocy ludzie pod pachę sięgali, a mieszkał on latem i zimą w dolinie Pod Wysoką; Tatar Myśliwiec z Zakopanego, który latem i zimą w grocie pod Osobitą mieszkał i tam dziesiątki lat przetrwał. Byli zresztą tacy, którzy chwilowo tylko zbójnictwem się trudnili i na krótki czas zabłyśli.

(C. d. n.)

JÓZEF JEDLICZ.

## *O smutny wichrze, o płacząca falo...*

*O w mgłach jęczący, śpiewający wichrze,*
*Huczący uboczą skał — —*
*Niesiesz ty z sobą moje sny najcichsze,*
*Mój najgłośniejszy żal i szał!*
*Niesiesz ty z sobą moje troski najlichsze,*
*Gdy żeniesz przepaścią w cwał,*
*O w mgłach jęczący, śpiewający wichrze!..*

*O senna, w mrokach zawodząca falo,*
*Promienna pianą jak kwiat — —*
*W twej dumnej skardze ludzkie łzy się żalą,*
*Łzy ludzkie toczysz ty w świat,*
*Oczarowana tajemniczą dalą...*
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
*Ja wasz nieszczęsny brat,*
*O smutny wichrze, o płacząca falo...*

WOJCIECH BRZEGA.

# Styl zakopiański.

Wiek XIX., który przyniósł tyle walk narodowościowych, tyle antagonizmów, tyle kłopotów politykom starej daty, przyniósł z sobą i szowinizm narodowy, który wzrósł do tak potwornych rozmiarów, że zagłuszył u ludów przymioty ich duszy, poczucie braterstwa narodów, które było wypisane na sztandarach rwącego się ludu z wiekowej niewoli.

Kiedy poczucie odrębności narodowej zaczęło budzić narody do życia, narody zapomniane, których duch spał pogrążony w wiekowej niewoli, jak ta ziemia, spowita i zakuta lodami pod wpływem wiosennych promieni zaczyna drgać i nowa, rozmiękła, powoli osycha i zaczyna się stroić w zieleń, kwiaty, tak narody po pierwszych drgnieniach przebudzenia zaczęły tworzyć kwiaty swych uczuć, zaczęły maić zielenią swe domy, kwiatami narodowej sztuki.

Tam na północ, w kraju zimy, narody skandynawskie pierwsze zaczęły pracować nad odrodzeniem sztuki narodowej, potem Ruskin, ten wielki demokrata na punkcie sztuki, chciał, by lud jego żył w otoczeniu piękna, jak motyl żyje na łące — i zachód Europy, wyczerpany w swojej narodowej twórczości, sięgnął aż tam, na daleki wschód do wysp Japońskich, by się posilić wschodnim kultury pokarmem. A północ, która nie zużyła utworów ludowej sztuki, zaczęła pracować nad jej odrodzeniem.

Norwegja np. ma dziś, możnaby powiedzieć, od szpilki do armaty styl swój zastosowany.

Taki mały naród, raczej lud słowacki za Tatrami, kto wie, czy nie prędzej w czyn wprowadził tendencje tworzenia swojego stylu, niż my Polacy.

W Świętym Turczańskim Marcinie, w narodowym Domu jest muzeum słowackie, gdzie obok kości Szafarzyka, (które są relikwjami dla słowackiego ludu), stoją przepięknie cyfrowane stoły, rysowane kądziele i barwne hafty. Na dole zaś w niewielkiej izbie, nazwanej kasynem, jest boazerja w stylu słowackim, nyża w ścianie, ozdobiona szczytem ze słoneczkiem i dymnikiem.

Kiedy Iwan Wajański spostrzegł moje zainteresowanie się temi ozdobami, powiedział, że my sobie tu w słowackim stylu urządzili nasze kasyno.

U nas w Polsce dawno przeczuli ludzie tacy, jak Norwid, że przyjdzie chwila, kiedy polską duszę polskiemi architektonicznemi formami się wypowie.

Ale pomimo tego długo by może jeszcze praca nad odrodzeniem stylu odłogiem leżała, gdyby się tu, do naszych gór Tatrzańskich, nie był zjawił człowiek tej miary, co Witkiewicz.

Litwa dała Polsce wielkich ludzi, Litwinowi więc przypadło wskrzesić i styl, który kiedyś panował w Polsce. Ale nad Polską burze przechodziły i różne wpływy, dużo najazdy zniszczyły, dużo sam naród wyrzucił.

Jedno tylko Podhale żyło najdłużej ludową, polską sztuką i ludową kulturą. Lecz i na Podhale przyszło zatracenie na polski styl, na ludową kulturę, w formie cywilizacji niemiecko-kelnerskiej. Na czas jednak zjawił się tu Witkiewicz, a wcześniej państwo Dębowscy, którzy pierwsi zwrócili uwagę na sprzęt i chatę góralską. Zaczęto więc zbierać ozdobne graty, a czas był najwyższy, bo jakiś duch nastał u górali, duch niszczenia starych „dziadów“. Co który gazda przebudowywał swoją chałupę, to wszystkie graty szły na ogień a wprowadzano tandetę miejską, albo gołe ściany zostawiał, domy zaczęto budować w stylu szwajcarsko - żydowskim. Szkoła rzeźbiarska, którą wówczas założono w Zakopanem, pomagała zatracaniu rodzimego stylu, wprowadzając tyrolszczyznę.

Rok 1886. będzie pamiętny w historji sztuki w Polsce — w tym roku w zimie, kiedy Witkiewiczowi przyniosła p. Dębowska łyżnik z chaty góralskiej, on powiedział, że z tych motywów trzeba wskrzesić i odrodzić styl polski; powiedział i słowa w czyn wprowadził.

Nie mogę o Witkiewiczu na zimno mówić; jest on dla mnie czemś takiem, jak ten chłopski naczelnik, co wiódł lud krakowski na moskiewskie armaty pod Racławicami.

Trzeba mieć tyle talentu i taką miłość dla polskiego ludu i dla Polski, jak Witkiewicz, żeby to zrobić, co on zrobił. Dziś u nas pracy jego nie umieją ocenić, ale przyjdzie czas, kiedy Polska będzie błogosławić jego pracę a Litwa dumną będzie, że takiego syna wydała.

I dziś, kiedy tu z tego źródła Tatrzańskiego ruch ten dopływami rośnie w rzekę i obejmuje przestrzeń dawnej Rzeczypospolitej, niechże zespala i jednoczy naród i niech tak panuje nad Polską ziemią, jak ten Piast, co z pod chłopskiej wyszedł strzechy a na królewskim zasiadł tronie.

*Zakopane, 2. lipca 1905.*

## PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

*Michała Chrościńskiego: Opisanie ciekawe gór Tatrów. Wydał Stanisław Eljasz Radzikowski. W Krakowie 1905.*

„Opisanie ciekawe“, nazwane także „uwiadomieniem“, należy do dosyć licznego szeregu mniej lub więcej znanych „spisków“, czyli rzeczy spisanych o skarbach zaklętych w Tatrach i drogach do nich prowadzących. Nie jest to książka geograficzna, jakby można wnosić z tytułu, choć nie jest także zupełnie pozbawioną ciekawych wiadomości z zakresu tej gałęzi wiedzy. Napisana najprawdopodobniej w połowie XVII. w., o czem dowodnie świadczy jej język, znajduje się jako rękopis w bibljotece Pawlikowskich pod l. 40. we Lwowie. Co do autora jej, niema żadnych wiadomych, kim był, skąd pochodził i kiedy się dostał do Tatr. Pan Stanisław Eljasz Radzikowski, jeden z najbardziej owocnych pracowników na niwie wiedzy tatrzańskiej, dociekał w żmudnych poszukiwaniach, co zacz on Michał Chrościński (na rękopisie Hrościński), jednak do stanowczych, konkretnych rezultatów nie doszedł.

„Opisanie ciekawe“ jest tem ciekawsze, że autor jego dążąc po zaklęte skarby ku Żabiemu Jeziorku, szedł drogą od wsi Jurgowa ze strony północnej, czyli zupełnie nieznaną w opisach Tatr np. w owych dwóch, które wydali Zejszner i Kopernicki, („Bibl. warszawska“ 1849, t. I. str. 550, i „Pamiętnik Tow. Tatrz.“ t. VIII. 1883.), w wielu miejscach jednakowo brzmiących. Na większą uwagę zasługuje książka Chrościńskiego i z tego względu, że autor jej jest pierwszym podróżnikiem polskim w Tatrach, dzieło zaś jego jest niejako ogniwem — jak słusznie zauważył p. St. Eljasz Radzikowski — między ułamkowymi opisami Tatr a znakomitym opisem Staszica w „Ziemiorodztwie“.

„Opisanie ciekawe“ Chrościńskiego, opatrzone wstępem, licznemi objaśnieniami i dopiskami p. Radzikowskiego, jest wydane nadzwyczaj starannie i jest pożądanym nabytkiem nietylko dla miłośników Tatr, lecz i dla ludoznawców.

*Fel. Gw.*

Drukiem W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika l. 5.